JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

Rok 3333

CZYLI SEN NIESŁYCHANY

(Poprzedził wstępem o sprawie żydowskiej w Polsce NIE WIEM KTO)

„Caveant Consules!”

„Czuwajcie Obywatele!”

Wydawca

Jeden Taki Pan

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

Rok 3333

CZYLI SEN NIESŁYCHANY

(Poprzedził wstępem o sprawie żydowskiej w Polsce NIE WIEM KTO)

„Caveant Consules!"

„Czuwajcie Obywatele!"

Wydawca

Jeden Taki Pan

Wydanie trzecie

Wydanie w formie elektronicznej

Październik 2015

Opracowanie okładki

Skład i łamanie oraz konwersja do formatów: pdf, epub, i mobi

Dariusz Bugała

Korekta i Redakcja: Jeden Taki Pan

ISBN zbiorczy dla formatów: pdf, epub, i mobi

ISBN 978 – 83 – 943517 – 6 – 2

ISBN dla formatu pdf

ISBN 978 – 83 – 943517 – 7 – 9

ISBN dla formatu epub

ISBN 978 – 83 – 943517 – 8 – 6

ISBN dla formatu mobi

ISBN 978 – 83 – 943517 – 9 – 3

Wydawca

Jeden Taki Pan

Słowo Wstępne

„Dziwna lekkomyślność i niedbalstwo Polaków o dobra
doczesne, zrobiły z Polski prawdziwe Eldorado dla Żydów„

Bismark

Więc dla śmiechu?

Dla śmiechu tylko wielki patryota i pełen zasług nasz pisarz dał nam tę książkę, ukazał grozę niebezpieczeństwa żydowskiego dla Polski, przedstawił straszną przyszłość stolicy naszej zalewanej falą żydostwa?

Dla śmiechu tylko?

Kiedy w pierwszych latach ubiegłego stulecia, Julian Ursyn Niemcewicz, zwrócił uwagę swoją na lud Izraela, który gnębiony i prześladowany w całej Europie, doznał przytułku w naszym kraju, i odpłacił mu się za to dobrodziejstwo tak, jak owemu chłopu z bajki odpłaciła się ogrzana za pazuchą jego żmija, rozsiedli wśród nas żydzi, stanowili zaledwie szóstą część ludności naszego kraju.

Ale byli już w nim narodem w narodzie.

Obcy mu wiarą, językiem i duchem.

Niby kliny, rozsadzali spoistość jego narodowych konar.

Widząc ich solidarność i zwartość, śledząc za pulsem ich dążeń, wsłuchując się w szept ich pożądań, zrozumiał on, że nad nami zawisła przez nich groza niebezpieczeństwa wielkiego, że w niedalekiej być może przyszłości, Polska stanie oko w oko z strasznym wewnętrznym wrogiem, który do spółki z zewnętrznymi, wymierzy jej w samo serce cios.

„Każdy się u nas pyta – napisał wtedy, – *co będzie z imieniem Polaka, co się stanie z Chrześcijaństwem, jeżeli lud ten zostawszy przy swej oddzielności, przy swojej nienawiści i grubych przesądach, mnożyć się i dalej będzie w takiej jak dzisiaj progressyi?”*

I na postawione to sobie pytanie, odpowiedział tą książką.

Rokiem 3333.

I ukazał w niej co będzie w stolicy Polski, w sercu, do którego się zbiega jej całej, jak szeroka i długa, – krew.

Czy tylko dla śmiechu?

Zapewne, że ten Moszkopolis w miejscu gdzie stała nasza polska Warszawa, ten powożący żydowską *„dryndulką”* potomek Czartoryjskich i Zamojskich, ta żydowska lejbgwardya króla żyda, gubiąca w błocie na paradzie pantofle, i ten waleczny hrabia Lejbuś, który na balu u hrabiny Rachel dał dowód przejmującego podziwem wszystkich żydów męstwa, gniotąc odważnie pająka, który się spuszczał z brudnego

sufitu na głowę księżniczki Jesielównej, na każde usta uśmiech sprowadzić muszą, ale któż z nas nie zasępi się poważnie, gdy rozejrzawszy się po drogiej mu Warszawie, ujrzy obce mu i wrogie tłumy przepełniające wszystkie jej ulice, większość już domów naszych w żydów rękach, mnogość na każdym kroku sklepów, rozbrzmiewających dźwiękami obcego nam języka?

Więc gdy to ujrzy, śmiech podobny zniknie niezawodnie wtedy z jego ust, i dojdzie on do przekonania, że wielki obywatel, chciał w swojej pracy wyprorokować przyszłość Warszawie, jeżeli się nie opamięta, i spojrzawszy oko w oko niebezpieczeństwu, nie odżegna się od niego wysiłkiem woli.

Rzeczywiście, Niemcewicz pisząc swój rok 3333, ten cel na widoku miał.

Pragnął nas przestrzedz,

Pragnął nas przerazić,

Pragnął zbudzić w nas patryotyczną czujność.

Bo widział że źle się dzieje, że podkopują się podstawy naszego bytu, że obcy i wrogi przybysz, kopie nam powoli grób.

Rozpajając i niszcząc lichwą naszego chłopa,

Jak potop zalewając nasze miasta,

Znieprawiając naszą prasę,

Jad gangreny sącząc powoli w nasze żyły.

Taki nie inny cel miał on na widoku,

Do tego, jako kochający Polskę wierny jej syn, zmierzał.

A że patrzał jasno, więc widział więcej niż inni,

A że czuł gorąco, więc wyczuł co z tego będzie.

Zatem nie śmiejcie się czytelnicy, gdy rzecz jego odczytywać będziecie, snu jego nie bierzcie za żart, nie pocieszajcie się tem, że rok jeszcze 3333 tak daleki...

Ale śledząc uważnie za wzrostem żydostwa w Polsce i jej stolicy, widząc do czego dążą te obce tłumy urągające już dziś zuchwale naszej bohaterskiej przeszłości i ideałom narodowym, stójcie na straży interesów polskich kraju, za przykładem Wielkopolski, która się już nieledwie zupełnie tych szkodliwych pasożytów pozbyła, wspierajcie swojski przemysł i handel, odgradzajcie się od żydowskich pokus i wpływów, i solidarni w dążeniach, mających na celu unicestwienie wewnętrznego szkodnika, pod sztandarem miłości Polski, kroczcie z wiarą naprzód.

A wtedy sen autora tej książki na szczęście snem pozostanie, Warszawa otrząśnie się z naleciałości obcych, odżydzi i spolszczy,

I zniknie z przed oczów naszych zmora, że sławna stolica nasza, stać się kiedyś może plugawym Myszkopolisem, w którym my gospodarze polskiej ziemi, będziemy popychadłami żydów.

Nie wiem kto.

(Słowo wstępne pod pseudonimem „Nie Wiem Kto" napisał Stanisław Bełza - przyp. Wydawcy)

Rok 3333

W niedawnych czasach, gdy wiele wybornych pism wychodziło o urządzeniu żydów, gdy materję, jako bytu lub z czasem zatracenia rodu i imienia polskiego tyczącą się, po wszystkich roztrząsano zgromadzeniach, ja również z innymi czytałem, słuchałem doświadczeńszych odemnie, nieraz nawet odważałem się i sam odezwać. Czytanie różnych pism, rozumowanie nad przedmiotem ich, długo zajmowały wszystkich umysły, a mnie do tego stopnia, iż czyli to u siebie, czy idącemu przez ulicę, czy w dobranych towarzystwach, gdzie i pół pejsaka nawet nie znajdowało się, mnie w rozognionej imaginacji mojej, snuły się same starozakonne postacie, a nawet w wytwornych pięknych dam przybytkach, kędy w porcelanowych donicach same tylko tchnęły jaśminy i róże, mnie zalatywał zapach, jednym tylko łapserdakom właściwy. Nie dziw więc, że tak gwałtownie, tak długo myśl moja na jawie jednymi zajęta przedmiotami, też same stawiała mi i we śnie, lecz w jak dzikim, w jak niesłychanym sposobie, sama tylko nieograniczona nadana wolność drzemaniom, wytłomaczyć i wymówić potrafi.

Zdało mi się naprzód, żem był we Włoszech, wiosce o pół mili od Warszawy, do ministra wewnętrznego należącej. Tam obejrzawszy przykładne jego gospodarstwo, wprowadzone w rolnictwie i narzędziach wynalazki, wypiwszy szklanicę wybornego mleka do Warszawy wracałem: lecz jakie było podziwienie moje, gdy zbliżając sie do stolicy, postać miasta tego inną wcale od dzisiejszej w oczach moich stawała. Im bardziej zbliżałem się, tem bardziej odmienność ta uderzała mnie i zadziwiała.

Na próżno Wolskich rogatek szukałem; na miejscu ich znalazłem nieforemną bramę, a raczej potężne wrota z okopconego wiekiem kamienia, na szczycie ich, była herbowa tarcza przez dwóch lewiatanów trzymana. Długo starałem się rozeznać, coby się w polu jej mieściło, aż nareszcie odkryłem, że to były cycele, (poświęcone sznureczki, które żydzi w kraju łapserdaków swoich noszą), dość kunsztownie wyryte. Na gzemsie dwa wiersze w hebrajskim języku, a pod temi te słowa łacińskiemi literami: Moszkopolis A. 3333.

Mimo przywileju snów, w których najdziksze rzeczy stają się rzetelnemi, nie mogłem się pojąć w zadumieniu mojem. Następujące jednak snu tego opowiadanie dowiedzie, że z każdym prawie krokiem com uczynił, wzrastało smutne zadziwienie moje.

Wjechawszy w miasto, ujrzałem po obu stronach domy, na wzór karczem dzisiejszych stawiane, z wystawami i stajniami. W niektórych miejscach sterczały żerdzie. Od nich, od jednego domu do drugiego naprzeciw przeciągnięte były sznury, na znak, że właściciele tych domów powinowactwem byli złączeni. Przed domami siedziały żydówki, a przed niemi macki z obwarzankami, kukiełkami i solą. Nigdzie nie było bruku, lecz natomiast błoto niezmierne. Około domów mnóstwo kaczek, gęsi, kur, indyków babrzących się w tem błocie. Wszędzie snuły się ćmy brudnych Żydów, naprzód i w tył, na lewo i na prawo. Przebóg! zawołałem: gdzież ja to jestem? Jakże się zżydziło to miasto? jakże? nie ujrzę i jednego Chrześcianina Polaka? Ledwiem wyrzekł te słowa, alić spostrzegłem małą brudną dryndulkę, a na niej siedzącego woźnicę, przecież nie w żydowskim ubiorze. Kiwnąłem i przybył. Wsiadłem umyślnie, bym od tego człowieka mógł powziąść objaśnienie względem tego wszystkiego, com widział i czegom pojąć nie mógł. Że doróżka w niezmiernem na ulicach błocie postępowała powoli, a niedostatek bruku wszelki hałas oddalał, ja i woźnica mogliśmy się wybornie słyszeć i wygodnie rozmawiać. „Mój przyjacielu (rzekłem), zaklinam cię, powiedz mi, co się znaczy, tak niepojęta, tak prędka odmiana. Niedawno Warszawa była miastem chrześciańskiem, polskiem, zkądże dzisiaj w mieszkańcach, w domach, słowem we wszystkiem tak zżydziała?" „Albo Jegomości musi się śnić, odpowiedział trochę z żydowska woźnica, albo z innego kraju musiałeś tu przybyć. Gdzie tam niedawno! ludzie powiadają, że to już z tysiąc lat, jak żydostwo opanowało tę niegdyś polską ziemię". „Jakimże sposobem (zawołałem) wojenny lud dał się podbić tym kapcanom?" „To mędrsi i uczeńsi doskonalej wam powiedzą, ja tylko wiem to, czegom się z ustnego podania, od dziadów i naddziadów mych nauczył. Nie orężem podbili oni Polaków, lecz sztuką, podstępami, przekupstwem; nie wiem dokładnie, jak to było, lecz gdy raz otrzymali prawo

wchodzenia do wszystkich urzędów, nabywania własności ziemskich, nic niezmordowanej przebiegłości ich i wykrętom tamy położyć nie mogło, tak, że z wiekami zgnietli Polaków Chrześcian, sami opanowali wszystko, a gdy nikt nie chciał brudno zaszarganego królestwa, wybrali sobie króla i starożytną Polskę Palestyną nazwali".

Osłupiałem na słowa te, i byłbym długo w zdrętwiałości mojej pozostał, gdyby doróżka nie przejeżdżała wedle miejsca, gdzie bywał pałac błękitny. Tu westchnął głęboko woźnica mój i rzekł: „Ten dom, co widzicie po prawej ręce, należał przed wiekami do przodków moich, naprzód był książąt Czartoryskich, a potem przeszedł do imienia mego, do Zamojskich". „Cóż ja słyszę!

zawołałem, ty jesteś Zamojski?" „Nie inaczej, powtórzył z westchnieniem, jestem Zamojski i poganiam tę dryndulkę. Żona moja jest Zosia Czartoryska, kobietka jak ludzie powiadają wcale ładna, mój szwagier Czartoryski ma ogródek na przedmieściu, który uprawia i z którego żyje". „Przedwieczny Boże! zawołałem, do czegoż to przyszło". „Nie dziwcie się, przydał dorożkarz, to samo się stało z wszystkimi dawnymi rodami polskimi. Radziwiłłowie są malarzami, Potoccy i Sanguszkowie bawią się furmanką i drzewo wożą od wisły, Chodkiewicze, Krasińscy, Lubomirscy, Sapiehy poszli na cieślów. Nikomu z chrześcian nie wolno mieć ni ziemskiej, ni miejskiej własności, chyba że Żydem zostanie. Jakoż niejeden przyciśniony biedą, znużony i spodlony uciskiem, zapomniawszy co winien Bogu i sobie, został żydem, zapuścił pejsaki i tak się dobrze kiwa nad talmudem jak Jud najlepszy".

Ledwie skończył te słowa, gdyśmy spostrzegli tłum żydów na koniach z włóczniami w ręku, w lisich czapkach i ładownicach, bez żadnego porządku jadących, dwóch trębaczów w podobnymże ubiorze jechało przodem, mieli oni trąbki, mało co większe od tych, któremi się dzieci bawią, i raptem tak przeraźliwie zapiskęli w te trąbki, iż konie zaczęły się trwożyć i kręcić, jeźdźcy gubić pantofle, zsiadać, szukać ich po błocie. To zastanowiło i poczet ów wojenny, a razem i dorożkę moją. „Cóż to się znaczy?" zapytałem przewodnika mego. „Jest to, rzekł, gwardja konna królewska, powracająca z zamku, zawsze taka bieda kiedy się ich napotka, bo ustawnie coś zgubić lub upuścić muszą; gorzej, kiedy na ćwiczenia wyjadą w pole, jak się to paskudztwo puści kłusem, to pada jak gdyby gruszki jakie". Nie wiem, jak długo trwałby ten nieporządek, gdyby się nie pokazał z daleka w karecie wspaniałej stary żyd z dużemi utrefionemi pejsakami w opończy, którą potężne okrywały haftki. Wielu żydków w samym kwiecie młodości harcowało koło karety na konikach. Jak tylko poczet konny spostrzegł go, wraz czy który znalazł pantofle, czy nie, czy który dopadł konia lub nie, wierzchem, piechotą, jak to mógł, porwali się z miejsca i uciekli w poboczną ulicę. Mój dorożkarz, korzystając z uczynionej na ulicy luki, ruszył naprzód, a przejeżdżając około wielkiego owego starego Pana, zdjął czapkę i schyliwszy głowę aż na kolana, długo w tej pozyturze zostawał.

Zapytałem ktoby był ów żyd bogaty? „Jest to, odpowiedział, Książę Wojewoda Icek Szmulowicz, prezes rady stanu, jeden z największych panów naszych. Oprócz znacznych dóbr ma pałac na Krakowskiem-Przedmieściu i blisko miasta Wilanów". „Co, zawołałem, żyd jest panem Wilanowa?" „A skądże znów Jegomość jedzie? zapytał z zadziwieniem woźnica, jużci zapewne nie będzie go miał żaden z chrześcian, tym nie wolno, tylko za pańszczyznę uprawiać rolę, albo po miastach prowadzić podlejsze rzemiosła". „W jakimże stanie jest dzisiaj Wilanów, czy tak piękny i porządny, jak był za dawnych właścicieli, czy ta murowana wioska, ten folwark, ta nowa część ogrodu, co ją pani Potocka założyła, dobrze są utrzymane?" „Nie wiem ja, odpowiedział dryndulkarz, co było wprzódy, to wiem, że dziś stoi tam wielka gorzelnia, browar i wołownia. Pałacysko brudne strasznie, zachowano nad Wisłą dwa drzewa, pod któremi Icek Szmulowicz kuczki swoje odprawia, król go bardzo kocha". „To macie króla, i któż jest tym królem?" „A któż ma być jużci żyd". „Jakże się zowie?" „Moszko XII", odpowiedział mój przewodnik.

Wpadając raz po raz z zadumienia w zadumienie, już się nakoniec (jako w snach bywa) przekonałem, że to wszystko prawda, została tylko mocna ciekawość widzenia wszystkiego, co się działo w tem czarnem królestwie. „Nie mógłbyś mię, rzekłem do dorożkarza, zawieść do zamku, po dykasterjach, teatrach etc., a zapłacę ci sowicie". „Do wszystkich tych miejsc, odpowiedział dorożkarz, chrześcianom zabroniony jest przystęp". „Co to za

nieszczęście, rzekłem, dałbym wiele, żebym te wszystkie niesłychane dziwy mógł widzieć". „Jeśli Jegomość chce odłożyć pieniędzy, to wszystko zobaczy". „Jakże, gdy mówisz, że to zakazane?" „Zakazane, to prawda, ale za pieniądze wszystko u nas wolno". Pomacałem się po kieszeni i kazałem się wieźć do zamku. W samej bramie zatrzymał mię zaraz żyd grenadjer z ogromną lisią czapką i z upudrowanemi pejsakami, wrzeszcząc co miał głosu: „Stój waść". Tu dryndulkarz, obróciwszy się, rzekł mi: „dajcie mu talara". Uczyniłem jak radzono, i natychmiast talar przełamał zaporę. Jak całego miasta, tak też nie poznałem i dawnego zamku Zygmuntów. Bóg sam wie, co to było za straszydło! Stało na dziedzińcu mnóstwo teleg, koszlawych karet i koczów. Przy wnijściu na wschody, druga przeszkoda, podobnież z mej strony ustawiona jak pierwsza. Wszedłem nakoniec na pokoje królewskie. Pokazanie się moje, strój, postać, niemałe sprawiły zadziwienie, zaczęło żydowstwo szeptać, krzywić się, gdy dwóch młodych żydków w popielatych łapserdakach z czarną aksamitną lamówką zbliżyło się do mnie. Spostrzegłem, że to były szambelany, gdyż przy wiszących cycelach nosili u kolan klucze. „Waści tu nie wolno wchodzić!" rzekł mi jeden dość przykro.

Nie tracąc przytomności, pamiętny na rady dorożkarza, dobyłem dwa dukaty i po jednym każdemu z szambelanów nieznacznie wścibiłem do ręki. Natychmiast wypogodziły się czoła młodych izraelitów. Jeden z nich pobiegł do Wielkiego Marszałka, jak rozumiem, z doniesieniem o mnie, drugi pozostawszy: „uważam, rzekł, że waść jesteś cudzoziemcem, ciekawym zapewne widzieć dwór Najjaśniejszego Judy, szczęśliwie wcale trafiłeś, ujrzysz go w całej okazałości, dziś bowiem jest uroczystość obrzezania Najjasniejszego królewicza Leyby. Król okaże się w całej okazałości, jeżelibyś waść znał się na grzeczności, tobym ja mu służył za przewodnika, okazał i oprowadził wszędy". Lubo przymówienie się to ze strony szambelana dworskiego zdawało mi się cokolwiek niedelikatnem, z tem wszystkiem rzuciwszy oko na pejsaczki przestałem się dziwić, i dobywszy dwa jeszcze dukaty, wsunąłem w dłoń szambelanowi. Ściskając mię za rękę, rzekł: „Nie odstąpię waści, aż wszystko obejrzysz. Pójdźmy do drugiego pokoju, gdzie są zebrani panowie radni i ministrowie". Żydziak szepnął do ucha na prawo i na lewo, wraz nam uczyniono miejsce. Weszliśmy do wielkiej sali pozłacanej, lecz brudnej, po jednej i drugiej stronie siedziały żydy w bogatych łapserdakach. Acz kosztownie ubrani, uważałem jednak, że pantofle ich nie były wychędożone, i nie było jednego, coby nie miał pończoch granatowem suknem na piętach łatanych. Przy samych drzwiach stało dwóch żołnierzy z lejbgwardji, mających na łapserdakach blaszane posrebrzane zbroje i włócznie w ręku. Wkrótce uwagę moją obudziło mocne potrójne uderzenie we drzwi. Na ten hałas porwały się wszystkie żydy z ław swoich, a mój przyjaciel szambelan szepnął mi: „Pójdź waść w tę stronę, a wygodnie wszystko zobaczysz". Jakoż otworzyły się podwoje i zaczął iść dwór królewski, pazie, szambelanowie, panowie radni. Nakoniec ukazał się sam król Moszko, a wtem wszystkie żydy, co tylko ich było, jęli się kiwać na kształt chińskich bałwanków. Mój przyjaciel szambelan powiedział, że ten był sposób witania króla. Osoba monarchy wielce mi się okazałą wydała! Był to pan, mogący mieć około lat czterdziestu, niezmiernie czerwony, tłusty i piegowaty, pejsaki miał rudo-kasztanowate, brodę tejże samej maści. Łapserdak i opończa były z czarnego aksamitu z potrzebami jak najpiękniejszej mody. Jarmułkę otaczał szereg pereł różowych, z których każda po 50 karatów mieć mogła; u szyi freza obyczajem żydowskim, z tej na złotym łańcuchu zwieszał się order na kształt złotego runa, lecz przyjaciel mój powiedział mi, że to order Icka Wielkiego.

Nic atoli nie zastanowiło bardziej blaskiem nadzwyczajnym oczu moich, jak cycele wiszące u kolan królewskich: były to sznurki z samych soliterów, z których najmniejszy jako orzech duży. Szambelan powiedział mi, iż ojciec królewski Moszko XI dał za te cycele 10 milionów złotych holenderskich. Za danym znakiem żydy przestały się kiwać i przedniejsi panowie uczynili koło. Wtenczas król obchodząc krąg cały, rozmawiał z każdym prawie, niektórych faworytów familiarnie targał za pejsaki i brodę, w konwersacji mieszając dowcipne żarciki, jak mnie przynajmniej zapewniał przyjaciel mój szambelan, cała bowiem rozmowa była w żydowskim języku. Po skończonych pokłonach, choć stałem zdaleka, król spostrzegł mnie, a zdziwiony figurą moją, kazał do siebie przystąpić. Powiedziano mu, żem był z dalekich krajów wędrownik. Monarcha z nieporównanym wdziękiem rozśmiawszy się do mnie, podał mi swą rękę, którą ja z najżywszem uczuciem pocałowałem.

Odprowadził mię przyjaciel mój szambelan aż do dorożki mojej, a żegnając oświadczył, iż życząc, by pobyt mój w Moszkopolis był jak najprzyjemniejszym, zaprasza mnie na bal do ciotki swojej, hrabiny Rachel, na ulicy Łokszyn mieszkającej. „Nim wieczór nastąpi", przydał grzecznie: „będziecie może chcieli widzieć ciekawości Moszkopolis, oto jest bilet", rzekł, dając mi kartę, „za którym wszędzie wolny przystęp otrzymasz; trzeba jednak, przydał ze znaczącą miną, znać się na grzeczności". Pożegnawszy się wsiadłem do pojazdu, nie mogąc pojąć, jak do tyla grzeczności można było łączyć tak niedelikatną chciwość pieniędzy. „Jakże się tam długo jegomość bawił, rzekł mi mój dorożkarz, miałem czas i konie paść i napoić i jeszcze nie widziałem końca. Dokądże teraz pojedziem?" „Jedź na sądy, rzekłem, wszędzie mię teraz puszczą, bo mam bilet".

Lubo postać całej Warszawy, ulice jej nawet odmieniły się, rozeznałem jednak, że dorożka zajechała na dziedziniec, gdzie niegdyś stał pałac Krasińskich, a dziś stała ogromna karczma. „Gdzież mię to wieziesz?" zapytałem. „Na sądy", odpowiedział woźnica. I tu na wnijściu, mimo okazanego biletu były trudności, lecz za daniem dwóch talarów zniknęły. A nadto tłum żydków z faktorskiem prawie narzucaniem się obstąpił mnię, ofiarując się być przewodnikiem i tłomaczem moim. Wybrałem najpocześniejszego i dobrzem trafił, był to bowiem jeden z sławnych mecenasów żydowskich.

Weszliśmy po schodach pełnych śmieci i brudu do obszernego przysionka, napełnionego tłumem żydowstwa. Sędziowie byli na ustępie. Usiedliśmy w kącie na ławie, co dało mi czas rozmawiać z uczonym mecenasem moim, i wiele światła zasięgnąć od niego. „Panie, rzekłem mu, dla czegóż tak niemiłosiernie zburzyliście gmachy miasta tego i na miejscu wielu niegdyś, jak słyszałem wspaniałych, tak nikczemne postawili?" „Uczyniliśmy to, odpowiedział mecenas, na mocy zakonu Mojżesza: "Zburzycie do szczętu, mówi Mojżesz (Deutoronom. Rozdział XII, w. 2) wszystkie miejsca, na których mieszkali narodowie, a które wy posiadacie i porozwalacie ołtarze ich i połamiecie słupy ich, spalicie bogi ich, i wygładzicie imię ich z miejsca onego". Przyznasz waść, mówił mecenas, że prawo to jest dosyć wyraźne. Jeśli wam nie dosyć na niem, przytoczę więcej". „Tenże Mojżesz tak mówi dalej: "Wytracisz naród, który Pan Bóg twój poda tobie, nie sfolguje mu oko twoje, bo pośle Pan Bóg twój na naród ten szerszenie i zetrze je starciem wielkiem, aż będą wyniszczeni, a poda krocie ich w ręce twoje i wygubisz ich pod niebem, nie ostoi się żaden przed tobą, aż ich wytracisz (Deutoronom. Rozdz. VII I XV). W ziemi, którą Pan Bóg twój dawa tobie w dziedzictwo, byś ją posiadał, wygładzisz pamiątkę Amalekową pod niebem. Ani się nie zlitujesz nad niemi, ani się spowinowacisz z niemi, albowiem Pan wybrał ciebie, abyś był osobnym ludem. Nie zapominajże tego." Mógłbym, mówił dalej mecenas, tysiąc podobnych praw, podobnych zakazów cytować. Wszędzie Mojżesz nakazuje nam nienawiść przeciw ludom innej wiary jak nasza, zaleca zerwanie wszelkiego przymierza, wszelkiej uczciwości z niemi, nadto brzydzić się niemi każe, tak, że obcować, jeść z niemi, dotykać się, nawet naczynia ich, jest u nas obmierzłym występkiem". „Jakże, zawołałem, toście wytępili całe plemię dawnych Polaków Chrześcian?" „Talmudziści nasi, odpowiedział mecenas, którzy więcej jeszcze mają rozumu niż Mojżesz, tak słowa Patryarchy tego wytłomaczyli: Wygładzicie wszystkich właścicieli ziemskich i miejskich, zabierzecie dobra ich, lecz możecie zachować wieśniaków ubogich i wyrobników, aby pracowali dla was. Sam nawet Mojżesz przydał: "I wyniszczy Pan Bóg twój naród ów przed tobą polekku i potrosze. Nie będziesz ich mógł razem wygładzić, by się snać nie namnożyło przeciw tobie bestji polnych" " (Deuterenom VIII). „Jakimże sposobem, zawołałem, mogliście tak waleczny naród częścią wytępić, częścią obrócić w niewolę?" „Jak nam przykazał Mojżesz, polekku i potrochu; przekupstwem, podejściem i wytrwałością. Naprzód przekładaliśmy, że to nic nie szkodzi gdy nam nadadzą prawo nabywania własności ziemskich i miejskich. Skorośmy to otrzymali, pomnożyły się sposoby nasze otrzymania i więcej. Pchaliśmy się do nabycia wszystkich praw obywatelstwa i piastowania wszystkich urzędów; kosztowało to nas niemało: lecz czegoż złoto i wytrwałość nie zmogą. Spełniono życzenie nasze, już najpiękniejsze majątki były w ręku żydowskim. Senat, ministerja, rady najwyższe, najpierwsze dostojeństwa piastowane były przez Moszków i Leybów. Ze wszystkich końców Europy potokami jęło się do Polski cisnąć żydostwo. Nie zważano długo, że naród nasz przez samo prawo religji swojej zespolić się z innym narodem nie może, że wiara nasza nie stowarzyszać się z ludźmi innego wyznania, lecz nakazuje wytępiać ich i niszczyć; spostrzegło się potem Chrześciaństwo, lecz to już było za późno".

Gdy mecenas mój kończył te słowa, potrójne uderzenie we drzwi dało znać, że się ustęp zakończył

i natychmiast otworzyły się podwoje. „Jakiemiż prawami, jakimże sądzicie się kodeksem?” „Kodeksem Mojżesza” odpowiedział mecenas mój.

Weszliśmy do sądowej izby.

Stał pośrodku stół, około którego jedenastu sędziów siedziało. Dwunasty najwyższy, może ministra sprawiedliwości zastępujący,, siedział na wyższem nieco krześle od innych. Był to otyły siwy starzec, tak już latami znękany, że ni słyszeć, ni widzieć, ni zatem wiedzieć mógł, o co rzecz szła. Młode żydki, pisarzów i sekretarzów miejsca zastępujący uwijali się koło niego i sędziów, i podobną całą sprawiedliwością podług woli swojej rządzili. Przywołano sprawę kobiety i mężczyzny, obojgu Chrześcian. Była to przekupka około pięćdziesiąt lat mająca, niezmiernie tłusta, czerwona, słowem, jak się pospolicie mówi, wyszczekana w najwyższym stopniu. Sama ona indukowała sprawę swoją po żydowsku, gdyż lud nasz języka tego uczyć się musiał. „Kodeks Mojżesza, rzekła, w rozdziale XXV powtórzenia zakonu, nakazuje, że po mężu bracie bez potomstwa, brat męża tego z wdową żoną jego koniecznie ożenić się powinien. Ja się w tym przypadku znajduję, jestem wdową po mężu zeszłym bez syna, brat jego nie chce się żenić ze mną, oskarżam go przed najjaśniejszym kahałem, i upraszam, aby mu rozkazał, by mię wraz pojął i kochał z całej duszy swojej”. W całej tej indukcie tłusty prezes zwiesiwszy siwą brodę na piersi chrapał i nic nie słyszał. Młody pisarz zbliżył się do ucha jego, i jakgdyby odpowiedź odebrał, przywołał oskarżonego. Był to ubogo lecz czysto ubrany człowiek bardzo przystojnej postaci. „Jakóbie, rzekł pisarz, sąd cię zapytuje: czy prawda, że się sprzeciwiasz prawu Mojżeszowemu i nie chesz bratowej twojej pojąć za żonę?” „Prawda, odpowiedział, bo zakon nowy, nie zaś prawo Mojżesza, Chrześcianina wiązać powinny”. Na te słowa porwały się z zapalczywości wszystkie żydy. „Co za zuchwalstwo! krzyknęli, ty się śmiesz z nowym zakonem odzywać?” Gniew i zgroza od sędziów przeszły do słuchaczów, młode nawet żydki, jak zygawki zaczęli przyskakiwać do Jakóba, i pazurami drapać go, szczęściem spór wszczęty obudził zgrzybiałego prezesa. Zadzwonił więc i nakazał spokojność. Jakób tak mówił dalej: „Prócz przywiedzionej przyczyny, nie chcę pojąć stojącej tu Małgorzaty, naprzód, że jest pijaczka, powtóre, że jest brzydka, po trzecie, że jest stara, po czwarte i ostatnie, że kocham inną dziewczynę, i że już z nią zaręczonym jestem”. „Więc tedy nie chcesz jej pojąć?” zapytał. „Przez żaden sposób”, odpowiedział Jakób. Tu pisarz kahalny otworzywszy zakon, czytał następujące prawo: „A jeśliby mąż jaki nie chciał pojąć bratowej swojej, i nie chciał wzbudzić bratu swemu imienia w Izraelu, tedy przystąpi bratowa jego do niego przed oczyma starszych, i zrzuci trzewik z nogi jego, i plunie na twarz jego, a dom jego zwać się będzie dom wyzutego”.

Pisarz trybunalski skończywszy czytać: „Małgorzato, zawołał, czyń co masz czynić”. Natychmiast Małgorzata zdjęła but Jakóbowi i plunęła mu w twarz, a Jakób otarł się i skończyła się sprawa.

Przywołano potem dwóch żydów oskarżonych, że w domu swoim mieli obrazy i posągi, i stawiono ich przed sądem. Z miłem zdziwieniem ujrzałem między rzeźbami kilka starożytnych posągów pięknego dłuta, wśród obrazów zaś trzy Guido Reni, jednego Corregio, dwa Carraci i pięć Rubensów. Przeczytano prawo zakonu, nakazujące kruszenie wszelkich bałwanów i wizerunków, i w tejże chwili powyrzucano z okien wszystko, gdzie stojące już z oskardami i motykami żydostwo wszystko w kawałki potłukło i podarło. Przejęty do żywego takiem barbarzyństwem, nie chciałem słuchać dłużej tak mądrych wyroków i dawszy dwa talary mecenasowi, wyszedłem.

Natura i we śnie nawet trzyma się przepisanego biegu: uczułem apetyt gwałtowny, pokazał mi dorożkarz najsławniejszego restauratora. Wszedłem; przez długą i wąską izbę ciągnęły się po obu stronach małe osobne stoliki, przykryte niezmiernie brudnemi serwetami, stały na każdym talerze z cynkowemi sztućcami. Żydziaki, połowę z żydowska, połowę gadający z francuska, obskoczyli mię natychmiast, podając mi kartę potraw i zapytując, czegobym sobie życzył. Wziąłem kartę, na której z pomiędzy wielu przysmaków te tylko przypominam sobie:

Łokszy a la Machabae, Kugel au Szmalc, Kaczkes a la Jeremie, Oeufs a l’Estcher, Brocher au deluge, Maces, Obarzankes. Na spodzie napisane było: On avertit que tout est koszerne.

Przyniesiono mi wiele z tych potraw, lecz wszystkie tak czosnkiem zaprawne, tak okropnie brudne, iż zjadłszy tylko kilka jaj i dwie mace bez soli, zapłaciłem i wyszedłem.

Już też była godzina szósta wieczorem, wychodząc spostrzegłem wiele pojazdów stojących przed dużym szkaradnym gmachem, a woźnica mój oznajmił mi, że był to teatr narodowy żydowski. Jak ciekawy wędrownik, nic co jest ciekawego nie chcąc opuścić, wszedłem. Górne ganki i poziom (parter) dość były próżne, lecz w lożach pełno. Dawano operę w żydowskim języku: Abigal grzejąc Davida. Sytuacje w tym dramacie nie były najprzystojniejsze, w orkiestrze największe cymbały słyszeć się dawały, głos pierwszej śpiewaczki choć trochę przeraźliwy miał wielką rozciągłość. Po skończonej operze grano krotochwilę czyli farsę, lecz mogęż wyrazić zgrozę i głębokie oburzenie moje, gdym spostrzegł, że w sztuce tej naigrawano się, wyszydzano najświętsze tajemnice wiary naszej chrześciańskiej. Pełen żalu i gniewu wyszedłem z teatru, lecz na samem wsiadaniu spotkałem szambelana mego. „Czemuż waść tak zapyrzony?” rzekł mi. Opowiedziałem mu przyczynę zgorszenia i gniewu mego. „Nie dziw się, rzekł, trzeba czem bawić pospólstwo, a nadto polityką jest naszą utrzymywać wzgardę dla religji katolickiej. Dzieje się to z przyczyn stanu; a wiesz, że w takim razie nikt się nie pyta o słuszność, sprawiedliwość, a nawet o rozum. Jedź raczej do ciotki mojej na bal, ten wypogodzi zachmurzone czoło twoje”. Tak byłem rozgniewanym, żem się długo szambelanowi memu opierał; przemógł nakoniec naleganiem swojem i pojechaliśmy na gody.

Stanęliśmy przed obszerną karczmą czyli pałacem J.W. hrabiny Rachel. Blask niezmierny w oknach uwiadomił nas, że się już rozpoczął. Szambelan wziąwszy mię za rękę wprowadził do sali. Trafiliśmy właśnie, gdy młody książe Icek z hrabianką Szlomą tańcował solo narodowy taniec, to jest, że każde z nich wziąwszy koniec chustki podskakiwało do siebie. Gdy wszyscy unosili się nad gracją i lubem ułożeniem tej pięknej pary, ja tymczasem prowadziłem oczyma po sali i gościach zebranych. Izba była obszerna i bogato ustrojona, lecz podłoga niewymieciona, na wszystkich meblach pełno kurzu, postrzegłem nawet w rogach pozłacanych gzemsów kilkoletnie gęste pajęczyny, z których pająk niezmierny spuszczał się na jedwabnej swej nici, i już siadał na głowie księżniczki Jesielówny, gdy młody hrabia Chaim piorunem się ze stołka porwawszy i poskoczywszy naprzód, lisią swą czapką przeciął nić pajęczą i samego brzydkiego robaka pantoflem zagniótł. Oklask powszechny okrył czyn zwycięzcy: a przyjaciel mój szambelan powiedział mi, że hrabia był jednym z najwaleczniejszej młodzieży izraelskiej i że nie był to pierwszy dowód nieustraszonego męstwa jego. Tymczasem ta pojedyńcza bitwa hrabiego z pająkiem przerwała taniec, i przyjaciel mój miał sposobność przedstawienia mię szanownej ciotce swojej. Była to wysoka żydówka, około czterdziestu lat mająca, jeszcze świeża i dosyć ładna: miała ona drojetową suknię z winogrona, na głowie czerwoną chustkę, z pod której wychodzące skrzydła z dużych pereł zakrywały znaczną część twarzy, na piersiach wisiał duży kanak z niebrylantowych djamentów. Pani ta przyjęła mię z grzecznością bardzo blisko graniczącą z przymiotem, który my kokieterja nazywamy. Siostrzeniec jej szambelan chciał mnie innym damom przedstawić, lecz nie dopuściła tego hrabina Rachel, i owszem wziąwszy mię w rekwizycję dla siebie samej, usiadła ze mną na boku, i jak gdybyśmy się znali od wieków, zaczęła mi opowiadać historję życia i obyczajów wszystkich zaproszonych przez siebie dam, panien i kawalerów. Bawiła mnie wprawdzie jej rozmowa, lecz nie mogę powiedzieć, by dobroć jej wyrównywała dowcipowi. Podług twierdzenia hrabiny Rachel, nie było jednej kobiety, któraby przynajmniej dwudziestu miłosnych awantur nie miała, nie było żydka, którego by tysiącem nie obłożyła śmieszności. „Czy widzisz (mówiła pokazując mi młodą parę), ten hrabia Lejbuś, co to niby tylko trzyma damę za rękę, wiesz że w tym momencie oto daje baronowej Nuche ustrzyżone z pejsaków swych włosy. Lejbuś jest strasznie głupi, a ona największa w świecie kokietka”. Uważałem ogólnie, że im piękniejsza była żydówka jaka, tem ostrzejszymi obmowy grotami obsypywała ją dobra ta pani.

Nie jeden może zapyta: jakżem z hrabiną tak długą mógł prowadzić rozmowę, nie umiejąc słowa po żydowsku? Przypominam słuchaczom najprzód, że to był sen, a zatem marzenie pełne prcziwieństw i niedorzeczności, powtóre ile pamiętam, nie tylko hrabina ale wszystkie damy izraelskie, wszystkie, nawet młode bahorzęta trzepały tylko po francusku. Na dowód tego jeszcze jedna okoliczność przychodzi mi na myśl: pamiętam, że hrabina opisując mi łaskawie charaktery wszystkich snujących się przed oczyma naszemi osób, wskazując na starego żyda jednego, rzekła: „To jest osobliwszy oryginał, zawsze kwaśny i opryskliwy, dzikie

jakieś urojenie opanowało głowę jego, koniecznie chce, żeby żydzi po żydowsku gadali, i tak to ustawicznie powtarza, iż wszystkich już na śmierć znudził; zresztą i z innych względów nieznośne jest to stworzenie".

Postrzegłszy, że długa moja z hrabiną rozmowa nie podobała się kilku młodym żydkom, co się koło niej kręcili, wstałem, by zobaczyć, co się po innych izbach dzieje. I tam, jak wszędzie, pokątne rozmowy, zawiść, szepty. Roznoszono na dużych tacach wódkę, miód i wiśniak, tudzież pieczone mace, obwarzanki. Między konfiturami najwięcej widziałem cebul w cukrze smażonych, na kształt naszych kasztanów. Nic wyrównać nie mogło pieczołowitości matek około córek swoich; ta szeptała swojej do ucha, żeby się prosto trzymała, owa zgrzanej po tańcu nie dozwalała pić piwa, tamta swoją zakrywała chustką, trzecia na koniec intrygowała, żeby córka jej nie kto inny, tańczyła solo ulubiony taniec na śliczną nutę Majufes. Wśród tych tańców i śmiechów ministrowie rozmawiali o sprawach publicznych, a synowie ich szeptali. Kamerdynerowie roznosili chłodniki. Wkrótce jeden z nich niosący na niezmiernej tacy kubki z czosnkowymi lodami, pośliznął się i z całym ładunkiem padł jak długi na ziemię. Brzęk tyle potłuczonego szkła tak był przeraźliwy, iż i mnie acz twardo śpiącego obudził.

Otworzyłem oczy. Silnie zwodniczemi mamiony obrazami, długo pojąć nie mogłem, gdzie byłem. Dalsze dopiero zebranie zmysłów przekonało mnie, iż smutne przedmioty, które mnie przez całą noc dręczyły, snem tylko były znikomym. Padłem na kolana i podziękowałem Bogu.

Spis Treści